

Grigorij Gorin, współczesny dramaturg radziecki stworzył, w oparciu o sześciowiekową opowieść o bohaterach błazni niemiecko-flamandzkim, dramat opiewający tego to błazna jako bohatera wojny wyzwolenczej, prowadzonej przez praojców współczesnych Holendrów z Hiszpanami. Dodajmy, że — biorąc pod uwagę charakter i skład społeczny walczących stron — była to wojna biednych z bogatymi, ludu z obcym najezdźcą, prostaków ze szlachtą, protestantów z katolikami, chudych (Hiszpanów) z grubymi (Flamandowie), wojna więc wesołych ze smutnymi, żywiołowych z mistycznymi i w sumie — Karnawału z Postem.

Obrosła ona licznymi komentarzami humanistycznymi, była przedmiotem licznych rozpraw. Walce kultury ludowego śmiechu z rządową powagą, ludowej witalności z oficjalną, śmiertelną uczonością poświęcił wspomniała książkę jeden z najświetniejszych humanistów XX wieku — Michał Bachtin.

Zarówno więc Gorin jak i reżyser Rytko mieli do czynienia z materiałem i łatwym i skomplikowanym zarazem. Gorin miał łatwiejsze zadanie o tyle, że znalazł w swojej przeróbce dość pętne analogie do historii i teraźniejszości swojego kraju, co zresztą zapewniło jego dra-

Z teatru

Dyl Sowizdrzał

matowi sporą popularność. Gorin miał Tadeusz Rytko, albowiem pozostawiała mu tylko uczoność bez aluzji, albowiem nie ma w polskiej kulturze możliwości i potrzeby wprowadzania do walki o dobro i prawdę ludzką ludowego śmiechu, który jest w naszej kulturze zastąpiony przez inne czynniki.

Widać to w przedstawieniu, które już na pierwszy rzut oka jest przeinterpretowane i przeuczone. Ta lekka i ludowa komedia ze śpiewami objawia się więc nagle, w wydaniu naszego reżysera, jako uczona rozprawa już to z dziedziny humanistyki ogólnej, już też jako analiza problematyki rewolucji i reakcji. Na nieszczęście rozważania reżysera, prowadzone przy pomocy przyćmionych i zbyt głośnych obrazów, zderzają się z dość oporną wobec intelektu materią tego rubasznego dzieła. Stąd pierwszy dysonans — oto te wesołe scenki ludowo-archaiczne obciążają się na scenie Bagateli nadmiernym, ciężkim i zbędnym bagażem. Składa się na ten bagaż cała furza przedmio-

łów, rekwizytów, kostiumów, które przypominają raczej „Farfurkę królowej Bony” niż zamierzonego Breughela (malarz holenderski z tamtej epoki). Składa się na ten balast także nie ustalona konwencja aktorska, którą raz jest balladowo-komiksowa, brechtowska odgrywanie scenicznej tezy, które kiedy indziej przeradza się w dość nie-naturalnie wyglądający realizm. Aby poprzez bajkowe udawanie (w stylu „ja jestem ten okłopotny carodzieje...”) przejść do archaicznie-kabaretowego robienia oka do publiki, że to niby taka heca się tu odbywa na tej scenie.

Co prawda teza, iż jest to karnawał a może jeszcze „karnawał historii” dopuszcza niby wszystkie przebrania, to jednak ten eklektyzm formy (wraz z ragtajmowo-marszową muzyką A. Kaczyńskiego, który od awangardy przerzucił się do komercjalizmu w nie najlepszym stylu) wygląda mi raczej na balagan intencji, myśli i przede wszystkim na brak gustu i jasnej decyzji artysty sceny, który

nie wie co na niej ma być a czego zdecydowanie być na niej nie powinno. Stąd dobrze i przekonawająco zagrany szwarccharakter — Bohdan Grzybowski pasuje raczej do Dostojewskiego niż do farsy (nawet historiozoficznej).

Także ciekawa aktorsko etiuda Dominiki Stecówny jako szalonej kobiety niezbyt dobrze znosi sąsiedztwo rewiowego, przystojnego i też w swojej konwencji niezłego Sowizdrzała (Henryk Nolewajka). Najlepiej może w konwencji spektaklu mieścił się Marian Czech, gdyby taka konwencja w tym spektaklu była. Bo inna zupełnie (jak w Artura Millera „Czarownicach z Salem”) pojawia się w osobach Tadeusza Wiczcorka i Stanisławy Waligórzanki — rodziców Dyla. — To nie karnawał, to kompendium wiedzy o historii dramatu czy zbiór cytatów z przemęczonej egzaminami pamięci studenta, któremu się wszystko ze wszystkim już kojarzy. W tym wszystkim najbliższy moich ideałów stylowych tej sztuki byli kat Jerzego Bacz-

ka i król Filip (Krzysztof Górecki). Ale znów sceny dworskie z rewiową Renatą Fijałkowską były nie do przyjęcia, bo ani to karnawał, ani to ludowa farsa jeno Feniks (czy wyśmiany czy nie — to na jedno wychodzi), ten na ul. św. Jana w Krakowie.

Wojna między flamandzkimi partyzantami a Hiszpanami miała być umowna, ale ich ryki przypominały już to poczynania ekipy telewizyjnego Janosika już też dźwięki wydawane przez bohaterów „Trylogii” w wersji „Powtórki z rozrywki” w PR. Dodajmy do tego bąbelmame wyglądającą jak Matka Courage z Brechta a będziemy mieć obraz tej nie po kolei poukładanej teatralnej encyklopedii na scenie.

W sumie — ten lekki (choć sensowny) utwór przytłoczyła do desek sceny — materia teatru nadmiernie rodmuchana przez nieopatrzne reżysera, który — jak uczeń czarnoksiężnika — rozpułtał demony, którym podobać nie potrafił.

MACIEJ SZYBIST

Bagatela. Grigorij Gorin. „Dyl Sowizdrzał”. Tł.: maozyli — J. G. Fedorowscy. Songi — A. Świrszczyńska. Reżyser — Tadeusz Rytko. Scenografia — L. J. Skarżyński. Ruch — J. Tomasik.